

Andrzej Szahaj

O NĘDZY POLITYKI POLSKIEJ I TECHNOKRATYZMIE  
JAKO REAKCJI NAŃ

Wedle prowadzonych w Polsce od czasu do czasu badań socjologicznych, polityk znajduje się nieodmiennie na samym dnie drabiny prestiżu społecznego. Z badań tych wiadomo też, że większość ludzi mu nie ufa. Szczególnie nieufnie nastawiona do polityków jest młodzież. Z drugiej strony na studia politologiczne oraz pokrewny im kierunek – stosunki międzynarodowe, kandydatów nie brakuje. Wręcz przeciwnie – jest ich zatrzęsienie. Kandydaci owi, a następnie ci z nich, którzy zostali szczęśliwymi studentami muszą sobie przynajmniej w części zdawać sprawę z faktu mizernej pozycji polityków na drabinie społecznego prestiżu. Czego zatem oczekują decydując się na studia, które wszak winny przygotowywać przede wszystkim (choć przecież nie wyłącznie) do zawodu polityka? Konkluzja, która mi się nasuwa, jest banalna. Jeśli nie wiadomo o co chodzi, to chodzi o pieniądze. Obawiam się, że w Polsce utrwała się coraz bardziej obraz polityki jako dziedziny, w której można szybko i stosunkowo łatwo odnieść sukces materialny, a także medialny. Zyskać zatem to, o czym śnią tysiące młodych ludzi w Polsce: sławę i pieniądze. Nie lekceważyłbym tego nastawienia młodzieży. Oddaje ono stan świadomości społecznej, w której o polityce myśli się bez złudzeń, jako o sferze, w której działając trudno zachować społeczny szacunek i szacunek do samego siebie, ale z drugiej strony łatwo o miód i marmoladę naszych czasów: trzydzieści sekund w głównym wydaniu „Wiadomości” oraz dobry samochód z kierowcą. Być może jestem zbyt surowy w ocenie motywacji niektórych młodych ludzi. Z pewnością są wśród nich także i tacy, którzy myślą o polityce w kategoriach służby wspólnocie, realizacji ideałów etycznych i społecznych, poświęcenia i pracy. Mam wciąż nadzieję, że jest ich zdecydowana większość. Faktem jest jednak, że ludzie potrafią obserwować i uczyć się szybko. Najszybciej zaś uczy się młodzież. Czego zaś można się nauczyć obserwując politykę polską? Tęgo, że żadne głupstwo, cynizm i samolubstwo, narcyzm i wpatwienie we własny pępek, stawianie swoich spraw prywatnych ponad wszystko inne, bezwstydné używanie polityki jako, przede wszystkim, dziedziny łatwego i szybkiego awansu materialnego, jako sfery, w której czasami wystarczy po prostu być, aby odnieść suk-

ces (czy raczej pseudosukces) nie dyskwalifikują człowieka jako polityka, że można być miernotą intelektualnym, człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek charyzmy i osobowości, aby zostać politykiem i to często znaczącym politykiem (tym, który rozdaje karty). Styk sfery polityki i wielkiego pieniądza, swoista solidarność polityków jako nowej klasy sytuującej się ponad podziałami, *system mandarynatów politycznych*, gdzie członkowie dworu mają zapewnione dożywotnie synekury w zamian za lojalność i oddanie „władcy” kreują środowisko, które rządząc się swoimi prawami zapewnia jednostkom sukces z tego *tylko* względu, że się w nim znalazły. Przede wszystkim jednak młodzież uczy się tego, że polityka jest takim samym zawodem jak wszystkie inne, ponieważ jednak w społeczeństwie naszym rozpowszechniło się przekonanie, że sukces materialny jest jedynym kryterium sukcesu, to i materialny sukces polityków jako pewnej klasy przysłania w potocznym odbiorze społecznym wszystkie inne kryteria sukcesu, jakie winno się z zajęciem polityka łączyć. W ten sposób, patrzenie na politykę jako sferę osobistego powodzenia materialnego poczyna przysłaniać jej wymiar etyczny. Wykreowanie zaś przez media polityków (wraz z aktorami) na głównych bohaterów masowej wyobraźni przyczynia się jeszcze bardziej do strywalizowania i spłaszczenia polityki w świadomości społecznej. Przestaje się liczyć co kto mówi i czego chce, ważne się staje z jakiego miejsca mówi i jak szybko to, co mówi, może zostać uswięcone i podniesione do rangi Wielkich Słów kilkoma migawkami w telewizji. Słabym pocieszeniem jest to, że *mechanizm trywializacji polityki* opisywany przeze mnie jest mechanizmem dziś powszechnym, a polityka polska jedynie odbija trend światowy.

Polityka jako przystań miernot. Polityka jako ostatnia deska ratunku nieudaczników i frustratów. Polityka jako festiwal niekompetencji i nieuctwa. Oto czym niestety czasami wydaje się być polityka polska. Już od wielu lat zastanawia mnie wyraźnie widoczna negatywna selekcja do zawodu polityka w naszym kraju. Nierzadko trafiają do niej nie najlepsi, lecz trzeci garnitur. Być może tak jest wszędzie na świecie, nie wierzę jednak, że aż w takiej skali. W ten oto sposób przegrywamy wszyscy, oddając walkowerem walkę o to, aby rządili nami najlepsi. Uważam owo przyzwolenie na negatywną selekcję do polityki za najbardziej przygnębiający fakt ostatnich dziesięciu lat. A może po prostu mamy taką politykę, na jaką zasłużyliśmy? Takich polityków na jakich nas jako społeczeństwo stać? Być może wszyscy jako pewna wspólnota zgodziliśmy się na obniżenie standardów w wielu dziedzinach życia, nie tylko w polityce? Jeśli tak jest, to tym gorzej dla nas. Dopóki nie zmienimy siebie, nie zmienią się też nasi politycy. Być może jest bowiem tak, że politycy odnoszą sukces właśnie dlatego, że *nie* są lepsi od nas? W tej perspektywie kluczem do lepszej polityki byłoby lepsze społeczeństwo, bardziej wykształcone, bardziej krytyczne, uczciwsze, trzymające się wyższych standardów intelektualnych i etycznych, mniej pobłażliwe wobec cynizmu i wobec niekompetencji. Społeczeństwo, które nie pozwala na to, aby polityka była sferą niejawną gry, nieprzejrzystych interesów i decyzji podejmowanych za kulisami. Społeczeństwo, które domaga się rzeczywistej realizacji idei demokracji,

dba o bogactwo organizacji i stowarzyszeń wpływających na politykę, o artykulację swego niezadowolenia i faktyczną możliwość wpływania na decyzje polityczne, nie jest zaś jedynie odświętnie mobilizowaną siłą, która dokonuje rytualnego gestu głosowania, po to, aby następnie wycofać się na pozycje określone strategią konsumpcji i walki o przetrwanie ekonomiczne.

Wielu może uznać tę ocenę polityki polskiej za niesprawiedliwą. I z pewnością jest ona niesprawiedliwa w odniesieniu do tych, którzy parając się polityką zachowują wysokie standardy etyczne i intelektualne. A przecież są i tacy. Co więcej, mam wciąż nadzieję, że stanowią większość. Problem polega jednak na tym, że sądy takie jak wyrażone powyżej (umyślnie nieco przejawskrawione) rodzą się wtedy, gdy ta właśnie część polityków (większość?) nie jest w stanie przeciwstawić się skutecznie tym, którzy psują im opinię. Mam żal do uczciwych i mądrych ludzi parających się polityką, że czynią tak mało, aby eliminować ze swego grona tych, którzy nie zasłużyli na pobbżazanie. Owego właśnie pobbżazania jest w polityce polskiej zbyt wiele, stanowczo zbyt wiele. Mechanizmy eliminacji z polityki osób ją psujących są słabe, jeśli w ogóle są. A to właśnie politycy zdemoralizowani pracują w dwójnasób na czarny obraz polityki polskiej. I o tym winni pamiętać ci, którzy swym pobbżazaniem sami przyczyniają się do krzywdzących ich uogólnień i raniących generalizacji. Polityka nie jest taką samą sferą życia jak inne. Polityka to działalność publiczna, tutaj kryteria ocen muszą być szczególnie ostre i bezwzględnie przestrzegane, albowiem zbyt wiele od polityków zależy, aby stosować wobec nich taryfę ulgową.

A teraz kilka zdań w odpowiedzi na pytania postawione przez redakcję „Etyki”.

1. Czy w działalności społeczno-politycznej obecna jest (a jeśli tak, to jaka) koncepcja dobra wspólnego?

Każda działalność polityczna związana z koniecznością pozyskiwania głosów wyborców musi odwoływać się do jakiejś wizji dobra wspólnego. Problem polityki polskiej polega na tym, że owe wizje dobra wspólnego różnych partii i orientacji są jedynie elementem retoryki politycznej, często stanowiąc element programów wyborczych, o których i tak się wie, że nie będą realizowane. Panuje obecnie pewna cicha umowa pomiędzy politykami i wyborcami: my formułujemy program wyborczy, w którym zawieramy pewną wizję dobra wspólnego wiedząc doskonale, że nie mamy zamiaru jej realizować, wy zaś niczego innego się nie spodziewacie, wiecie jednak, że musimy zachowywać pozory. Po latach demoralizującego wszystkich pustosłowia, niespójnych programów wyborczych, o których z góry było wiadomo, że nie da się ich spełnić, niedotrzymanych obietnic i rzucanych na wiatr zapewnień wyborcy nie spodziewają się już, że politycy będą dotrzymywać danego słowa, co gorsza, nie spodziewają się już, że będą oni mówić to, co myślą, a być może część z nich nie spodziewa się już w ogóle, że będą mówić po prostu prawdę. Warto nadto zauważyć, że proponowane wizje dobra wspólnego są często niesłuchanie powierzchowne, nie wiążą się one z jakąś głębszą refleksją nad filozoficznym, etycznym i światopoglądowym wymiarem

ludzkiego życia. Nie uważam wcale, że należy zrównywać politykę z moralnością. Honoruję weberowski podział na etykę przekonani i etykę odpowiedzialności. Jak wielu innych obawiam się hipermoralizmu i „chorobliwego splątania dyskursu politycznego z dyskursem moralnym” (wyrażenie Andrzeja M. Kaniowskiego). Z drugiej strony jednak nie mogę pogodzić się z całkowitym wypraniem dyskursu politycznego w Polsce z problematyki wykraczającej poza kwestie ekonomiczne czy ewentualnie historyczne. Naszym dyskusjom politycznym brak jest szerszego oddechu intelektualnego, być może dlatego że takiego szerszego oddechu intelektualnego brak jest naszym politykom. Polityka polska to polityka uprawiana w duchu doraźności i w płytkiej perspektywie, którą można zamknąć w pytaniu: kto kogo? Dominuje w niej brak filozoficznej i etycznej samoświadomości, zaś np. etykietowanie w stylu: to „prawica”, a to „lewica” odbywa się z reguły bez jakiegokolwiek próby teoretycznego określenia o co chodzi.

2. Na jakich wartościach moralnych powinna zostać oparta służba społeczna?

Przede wszystkim politycy powinni *chcieć* traktować swoją pracę jako służbę społeczną. Jak na razie można odnieść wrażenie, że przynajmniej część z nich traktuje ją przede wszystkim jako służbę samemu sobie i swojej karierze (czasami także własnej rodzinie). Gdyby jednak tak się zdarzyło, że zaczęliby myśleć w innych kategoriach, to wtedy na pierwszym miejscu trzeba postawić uczciwość. Nic bowiem tak nie demoralizuje społeczeństwa jak nieuczciwa władza.

3. Jakie proporcje powinny być zachowane między pragmatyzmem politycznym a respektowaniem pozapragmatycznych wartości moralnych?

Nie bądźmy nadmiernymi idealistami. Polityka jest od dawna sztuką tego, co możliwe. Problem nie w tym, że stosuje się w niej cały repertuar zabiegów socjopragmatycznych, lecz w tym, że czasami *nic* innego się po prostu nie robi.

4. Które z zagrożeń życia politycznego uważa Pan za najpoważniejsze?

Z wymienionych przez Redakcję (dewaluacja wartości, jakimi są państwo, prawo, praworządność, ruchy nacjonalistyczne, fundamentalistyczne, zanik postaw patriotycznych, korupcja, cynizm polityczny) za najistotniejsze uważam te związane z brakiem poszanowania prawa oraz z korupcją. Niestety mimo wielu już lat zabiegów o ustanowienie państwa prawa, Polska takim państwem nie jest. Państwo nasze jest w ogóle słabe i nieudolne. Cały system sądowniczy i wymiaru sprawiedliwości znajduje się w permanentnym kryzysie. Rozmiary korupcji zaś mogą zatrwajać. W jednym z tekstów publicystycznych opublikowanych na łamach „Poliyki” mówiłem o gnijącym państwie. Obawiam się, że metafora ta nie straciła nic ze swojej aktualności. Ze smutkiem obserwuję także rozpowszechniające się przekonanie, że demokracja jest jedynie fasadą dla działań, na które obywatele i tak nie mają wpływu. Brak poczucia, że ma się wpływ na losy wspólnoty politycznej, w jakiej się żyje, może doprowadzić do trwałej frustracji, do społecznej apatii, wycofywania się w sferę prywatności, to zaś może zagrozić trwałości demokracji jako takiej.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę także na inne zagrożenie, które nie zostało wymienione w pytaniu Redakcji. Idzie o groźbę technokratyzmu. Groźbę realną. Wydaje mi się, że postawy technokratyczne w polityce polskiej były wyraźnie wi-

doczne w ciągu ostatnich dziesięciu lat i jak dotąd nie spotkały się z należną oceną. Drugą część swojej wypowiedzi chciałbym poświęcić tej właśnie kwestii.

Technokracja to termin, który został po raz pierwszy użyty w 1919 roku w Kalifornii przez inżyniera Williama Henry Smytha, w kontekście proponowanego przez niego „rządu techników”. Później spopularyzowany został przez Howarda Scotta, współpracownika wybitnego socjologa amerykańskiego Thorsteina Veblena, autora skądinąd najważniejszej bodaj dla tej idei pracy, a mianowicie książki *The Engineers and the Price System* (1921). Źródła idei technokracji są jednak starsze i sięgają twórczości utopijnego myśliciela społecznego księcia Henri Saint-Simona (1760–1825), który marzył o tym, aby władzę w nadchodzącym, w pełni zindustrializowanym świecie, objęli „industrialiści”: inżynierowi i technicy, uczeni, przemysłowcy i bankierzy, których przeciwstawiał klasie „próżniaków”. W okresie po II wojnie światowej pojawiła się teoria, wedle której rządy technokracji mają szanse zastąpić zarówno rządy demokracji, jak i rządy biurokracji. Ekspansję technokracji łączono wtedy z elementami planowania, jakie pojawiły się gospodarce kapitalistycznej, oraz przekonaniem o ujednoczeniu się systemów politycznych skazanych na przyjęcie do wiadomości prymatu rządów ludzi, którzy obdarzeni specjalną wiedzą naukową, korzystając z dorobku badań ekonomicznych, technicznych, sojologicznych oraz psychologicznych mogą realizować pragnienia ludzi (pojmowane czysto konsumpcyjnie) bez względu na ramę polityczną systemu, w jakim przyszło im żyć. Nawiasem mówiąc ideologia konsumpcjonizmu wydaje się doskonałym dopełnieniem idei technokracji. Wtedy, gdy człowiek miał stać się obywatelem staje się przede wszystkim konsumentem, otwiera się droga do stopniowej likwidacji polityki na rzecz technicznego administrowania, zaś technokracja uzyskuje legitymizację w świetle konsumpcjonistycznego światopoglądu.

Technokracja stanowi istotne zagrożenie dla polityki. Teza to nienowa, warto ją jednak powtarzać bez końca. Także w Polsce, gdzie myślenie technokratyczne jest popularne, a być może nawet – coraz bardziej popularne. Myślenie technokratyczne to myślenie wedle kategorii skuteczności. Ucieleśnia się w nim instrumentalny model racjonalności – racjonalne jest to, co służy optymalnej realizacji z góry przyjętych celów. Technokrata koncentruje się zatem na środkach, cele dlań są dane, oczywiste, jasne, bezdyskusyjne. Bardzo często powołuje się na (jakoby) ścisłe prawa nauki (najczęściej: „żelazne” prawa ekonomii), wymogi efektywnego działania, sprawdzone metody i niezawodne techniki. Wytwarza wokół siebie aurę nieomyślności. Ucina dyskusję. Jak można bowiem dyskutować z „żelaznymi” prawami nauki i techniki? Podejście technokratyczne jest podejściem z góry wykluczającym wszelką alternatywę, wybór, inną drogę. Odnosząc się do społeczeństwa technokrata ignoruje świadomość ludzi. Obca jest mu sławna maksyma wielkiego socjologa amerykańskiego W. I. Thomasa: „Jeśli ludzie definiują daną sytuację jako rzeczywistą, jest ona rzeczywista w swych konsekwencjach”, której konsekwencje opracował i twórczo rozwinął największy polski socjolog – Florian Znaniecki. Postrzegając to, co odnosi się do społeczeństwa, w kategoriach przyrodo-

znawstwa, technokrata nie dostrzega faktu znanego od dawna: życie społeczne rządzi się odmiennymi prawami niż fizyka czy matematyka; jego kluczowym elementem jest stan świadomości ludzi, którzy wchodzą w jego zakres. Ekonomia jest także nauką humanistyczną. Dla technokraty jeśli ludzka świadomość „nie nadąża” za tym, co z technokratycznego punktu widzenia słuszne (czytaj: nieuchronne, konieczne, nieodparte), tym gorzej dla niej. Dlatego też w swych decyzjach technokrata ignoruje to, co ludzie myślą. Co więcej decyzje swe programowo wprowadza w życie bez wcześniejszego poinformowania tych, których będą dotyczyć, jaki jest ich cel, przesłanie, wartości, na jakich się wspierają. Technokrata zawsze wie lepiej, nie ma zatem potrzeby rozmowy z innymi. Dlatego też technokrata nie rozmawia, nie wyjaśnia swych decyzji, nie przedstawia obszernie i wyczerpująco ich motywacji, technokrata poucza i informuje o swych decyzjach. Nie interesują go reakcje innych ludzi na nie. Prawda pod postacią skuteczności jest wszak po jego stronie (jak sądzi). A czyż dyskutuje się z prawdą? Technokrata lubi ignorować ludzkie oczekiwania, nadzieje i przekonania. Często przeciwstawia, zawsze reklamowaną jako obiektywna, ocenę – uznawanej przezeń za nie mniej obiektywną – sytuacji, temu, co ludzie subiektywnie (czyli z jego punktu widzenia: niedojrzałe, niemądre, pochopnie, naiwnie) sądzą (tak, jak gdyby można było sądzić inaczej niż subiektywnie...). Jeśli np. ludzie oceniają sytuację gospodarczą czy jakąkolwiek inną jako złą, a obiektywne (czytaj: naukowe, techniczne) wskaźniki pokazują, że jest dobra, to sytuacja jest dobra. Dlatego niczego nie trzeba zmieniać. W myśleniu technokraty tak naprawdę bowiem nie liczy się to, co myślą i czują ludzie, lecz to, aby zadość stało się przyjętej z góry wizji tego, co dla nich dobre. W ten sposób technokrata wkracza nieuniknienie na ścieżkę paternalizmu, decydowania za innych ludzi co jest dla nich dobre.

Technokrata szuka innych technokratów i lubi się nimi otaczać. Sam chce być ekspertem i kult ekspertów krzewi. Eksperci zawsze wiedzą lepiej od zwykłych ludzi, zwykłych obywateli. W nowoczesnym społeczeństwie przemysłowym pełnią rolę kapłanów. Tyle tylko, że ich wiedza ma być gwarancją sukcesu tu na ziemi, nie zaś zbawienia po śmierci. Oni sami kreują swój obraz wedle przyjętego w naszej kulturze wzoru tego, co to znaczy być racjonalnym. Dlatego chcą uchodzić za pozbawionych wszelkich przyjętych z góry przesądzeń światopoglądowych, pewnych swej wiedzy i obojętnych na wszystko to, co wykraczające poza profesjonalną biegłość.

Technokratyzm zabija politykę. Polityka jest sztuką rozmowy, debaty, perswazji, przekonywania, retoryki. Polityka jest królestwem wartości i wyboru wartości. Technokrata zaś nie rozmawia, albowiem z góry wie. Dla niego polityka tak pojmowana, to strata czasu. Czyż dyskutuje się o tym, że po zimie będzie wiosna, a po wiośnie lato? Technokrata informuje, polityk przekonuje. Dla technokraty demokracja jest uciążliwym balastem rytualnych zachowań i gestów; znosi ją tylko o tyle, o ile pozwala mu ona legitymizować własne poczynania. Naprawdę jednak nie jest mu do niczego potrzebna. Nie sądzi też, aby potrzebna była ona ludziom. Technokrata bowiem wie, co jest dla nich najlepsze. Za jego poczynania-

mi kryje się pewna wizja natury ludzkiej. W naszych społeczeństwach przemysłowych jest to wizja człowieka jako *homo oeconomicus* lub *homo faber*. Stąd też wszystkie te cele ludzkiego życia, które wykraczają poza produkowanie i konsumpcję technokrata uważa za nieznaczące.

Technokrata może wpisać się w nieomal każdy system polityczny. Jest człowiekiem do wynajęcia. Może służyć idei gospodarki planowej, jak i idei wolnego rynku. W swych działaniach często odnosi sukces. Korzystają z niego wszyscy obywatele, zaś jego styl działania nierzadko okazuje się zbawczy dla pogrążonej w kryzysie gospodarki czy osłabionego kryzysem państwa. Żaden system efektywnego działania społecznego nie może obejść się bez pewnej dozy zachowań technokratycznych. A jednak... A jednak technokracja jest niebezpieczna. Wtedy szczególnie, gdy chce swój styl działania narzucić całej wspólnotie społecznej, gdy wymyka się spod kontroli i zaczyna stanowić siłę sterującą państwem. Jest niebezpieczna, albowiem udaje, że tam gdzie w rzeczywistości można wybierać, wyboru żadnego nie ma. Odmawia ludziom prawa i woli decydowania o ich własnym życiu, wybierania tego kim chcą być i jakim życiem chcą żyć. Zubaża ich egzystencję, traktuje ich paternalistycznie i instrumentalnie, ignorując w szczególności tych, którzy nie wpisują się w jej schemat racjonalnego (co znaczy dziś – prorynkowego) działania. Unicestwia politykę pojmowaną jako sztuka dochodzenia do dobra wspólnego na drodze powszechnej debaty. Zniechęca obywateli do zabierania głosu w sprawach publicznych (któż by się ośmielił przeciwstawić się ekspertom?).

Nie wierzymy technokratom. Tworzą oni mit swej niemyślności i pewności wiedzy (najczęściej czysto technicznej i wąskiej), jaką dysponują. Prawa, na jakie się powołują, nie mają statusu praw „żelaznych”, tak bliska im obiektywność, to nic innego jak tylko pewna subiektywność podniesiona do rangi obiektywności, ich rzekoma obojętność na skutki ich decyzji dla nich samych, to często parawan dla realizacji własnych interesów. Nauka, której używają jako ideologii, nie jest tak pewna i niezawodna jak to sugerują, jej metody i osiągnięcia są dużo bardziej wątpliwe, niż się to laikom wydaje. Ich techniczna elokwencja to często dymna zasłona żargonu dla stronnicych wizji człowieka, społeczeństwa i świata. Polityka to nie tylko technika zarządzania ludźmi i rzeczami, polityka to sztuka rozmowy i przekonywania, ludzie zaś to nie przedmioty technokratycznej manipulacji, lecz podmioty decyzji i woli. W polityce idzie o wartości, a nie o skuteczność realizacji jakiegoś rzekomo naukowego planu, na którego realizację zgadzają się jakoby wszyscy. Wbrew technokratom zawsze jest jakiś wybór. Przekonywanie, rozmowa, kontakt, debata i spór to nie uciążliwe dodatki do polityki, lecz polityka sama. Im wcześniej to zrozumiemy, tym lepiej. Bowiem reakcją na technokratyzm może być populizm, podejście, wedle którego lud ma zawsze rację, a to, co tzw. zwykli ludzie sądzą o świecie, jest zawsze prawdziwe. A także bunt tych, którzy mając dość rządów ekspertów mogą zechcieć wziąć sprawy w swoje ręce pozbywając się technokratów w ogóle i powierzając rządy „kucharkom” (co było przez krótką chwilę marzeniem Lenina). Tylko wtedy gdy unikniemy skrajności

technokratyzmu unikniemy także niebezpieczeństw populizmu i buntu mas. Pójdziemy wtedy drogą polityki, a nie techniki.

Teza moja jest taka: względny sukces podejścia technokratycznego w Polsce wiąże się wprost z nędzą polskiej polityki. Tylko tam technokrata witany jest jak zbawca, gdzie polityka kojarzy się z jałową gadaniną, mającą przysłaniać realizację własnych interesów. Wróżę technokratycznemu podejściu wielką przyszłość w naszym kraju, albowiem nie bardzo wierzę w naszą klasę polityczną, w jej możliwości samooczyszczenia i autonaprawy. Warto jednak pamiętać, z ulgą witając czas technokratów, że ulga ta jest jedynie wyrazem choroby, na którą cierpimy. Że akceptując technokratyzm zabijamy politykę, a zabijając politykę pozbawiamy siebie możliwości bycia obywatelem. W ten sposób zubożamy nasze życie, moralność zaś i spór o wartości czynimy przedmiotem zainteresowania jedynie grupki ludzi, której istnienia politycy i tak nie dostrzegają. Tam zaś gdzie zamiera polityka rozumiana jako spór o wartości i cele, więdnąć też poczyna demokracja.